

Falszerze prawdy w akcji

„A co to jest prawda?” – zapytał Sanhedrynu, ale chyba bardziej siebie samego Piłat. A co to jest prawda historyczna? – zadajemy sobie dziś to pytanie, patrząc, jak nasi sąsiedzi dogadują się po swojemu z historią naszym kosztem. Prawda historyczna w ich wydaniu to czysta polityka, tylko zawieszona w pewnym historycznym ciągu. Według tej ich prawdy, Polska w ciągu minionych 64 lat od wybuchu wojny zmieniła swój status z pierwszej ofiary hitleryzmu na świadka zbrodni i w końcu na współsprawcę odpowiedzialnego za holocaust. Przez minione lata nigdy też nie uznano Polski za ofiarę zbrodniczego komunizmu. Agresja sowiecka na Polskę 17 września 1939 roku, dokonana w ścisłym współdziałaniu z Niemcami, nie istnieje w świadomości nie tylko Rosjan i Niemców, ale i wszystkich Europejczyków. Powołana ostatnio w Rosji komisja historyczna ma dodatkowo zadbać o właściwą interpretację wydarzeń historycznych. Rosji sowieckiej oczywiście nie przypadnie rola agresora w II wojnie światowej, tylko, jak to było dotąd, wyzwoliciela Europy od „germanskowo gada”. Nazwy Katyń, Starobielsk, Ostaszków, Miednoje, Charków nie pojawią się na kartach historii Rosji. Daremne będzie wypowiedanie tych nazw przez Polaków. Już Rosjanie zadbają o swoją „świętą i czystą historię”. Nikt „matuszki Rosji” nie będzie mógł bezkarnie opluwać. Pełną parą idzie niemiecka polityka historyczna. Wraz ze zjednoczeniem Niemiec pojawiły się liczne epickie filmy fabularne, bogata literatura i bieżąca publicystyka, które

ukazują Niemców nie jako agresorów, ale jako ofiary wojny. Ostatnio Telewizja Polska pokazała niemiecki serial „Bursztynowy naszyjnik”, który odmalował nawet miłość niemieckiej arystokratki do sowieckiego rycerskiego enkawudzisty. Tak rozkochał tę zamężną już hrabinę, że miała z nim dziecko.

A jeszcze w latach 70. kino w Hamburgu, które wyświetlało film Joachima Festa „Hitler eine Karriere”, było obrzucane kamieniami, bo uważano, że film ten zbyt pozytywnie przedstawia Hitlera. Dziś Niemcy pochylają się nad swoim tragicznym wojennym losem w poczuciu traumy z doznanych klęsk i upokorzeń. Niestety, jesteśmy w niemałym stopniu odpowiedzialni za tę odwrotną do naszej historyczną ewolucję Niemców z katów na ofiary.

W dniu odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci płk. Clausa von Stauffenberga w Wilczym Szańcu Hitlera, 20 lipca 1992 roku, jego obecni tam trzej synowie Franz, Heimeran i Berthold (ten ostatni w mundurze Bundeswery) mogli z satysfakcją przeczytać o swoim ojcu jako o przedstawicielu „niemieckiego ruchu oporu”. Na nic się zdały protesty garstki historyków i dziennikarzy, zwanych wtedy przez oficjalne media, na czele z „Gazetą Wyborczą”, „oszołomami”. Dwa lata później, z okazji 50. rocznicy zamachu na Hitlera, już całe Niemcy świętowały pamięć bohaterskiego pułkownika, który najprawdopodobniej upozorował zamach, o czym pisze niemiecki historyk Dietrich Schmitd-Hackenberg, pewnie odpowiednik polskiego „oszołoma”.

Otóż Stauffenberg zaplanował nieudany zamach. Wcale nie miał zamiaru zabić Hitlera. Mógł go przecież, gdyby chciał, zastrzelić i samemu zginąć na miejscu. Chodziło mu o oto, by w świat poszedł sygnał, że są też inni Niemcy, którzy po przegranej wojnie będą chcieli budować państwo demokratyczne. Nieudany zamach na Hitlera kosztował życie ponad 5 tysięcy Niemców, przeważnie wysokich rangą wojskowych, podejrzanych o spisek. Czy rzeczywiście tylu ich było, „niemieckich przedstawicieli ruchu oporu” w samym niemieckim dowództwie? Nieważne, ilu. Pamiętajmy jednak, że na obchodach 60. rocznicy zakończenia II wojny światowej w Moskwie Władimir Putin także wymienił antyhitlerowski, niemiecki ruch oporu w czasie wojny, o polskim nie wspominając ani słowem.

Dlatego nie zdziwiła mnie ostatnia publikacja tygodnika „Der Spiegel” obarczająca winą za holocaust także inne narody, w tym Polaków. Przez kilkanaście lat polskie rządy biernie przyglądały się, jak szkalowano nasz kraj, wmawiając nam niezawinione zbrodnie, w tym udział w holocaustcie. Określenie „polskie obozy koncentracyjne” oburzało tylko wciąż tę samą garstkę niepokornych ludzi, historyków, dziennikarzy, dla których łamy wysokonakładowych pism nie były otwarte, nie wspominając o dostępie do publicznego radia i telewizji. Co ciekawe, wówczas na te kłamstwa historyczne reagował Władysław Bartoszewski. Dziś po publikacji „Spiegla”, stwierdził, że polemika z tym pismem jest „poniżej jego godności”. A dlaczego

polemika z pismem, o którym niejednokrotnie mówił w samych superlatywach, nagle jest poniżej godności Bartoszewskiego? W mediach zawrzało. W reklamówce telewizyjnej, zwanej z angielska „spotem”, o upadku systemu komunistycznego w Europie Środkowej, nakręconej na zlecenie Komisji Europejskiej, „zapomniano” wspomnieć o „Solidarności”. Szybka reakcja rządu i „spot” został poprawiony, ale... zabrakło miejsca na zdjęcia z Lechem Wałęsą, naszym i świata symbolem, najbardziej ponoć rozpoznawalnym na świecie Polakiem walczącym z komunizmem. Ano „zapomniano”, bo Wałęsa popiera teraz Libertas.

O prawdę historyczną trzeba walczyć, jak o każdą prawdę.

Wojciech Reszczyński

„Nasza Polska” 26.05.09